



Przepiękna powieść o przyjaźni
i rewolucji w kuchni.



ANNABEL
ABBSS



Gotowanie ze szczyptą miłości.
Historia, której nie zapomnisz!



SEKRET
PANNY ELIZY

MANDO

A N N A B E L

A B B S

SEKRET
PANNY ELIZY

Przełożyła
Jolanta Kozak

MANDO 

I

ELIZA

Rybie ości

Jest południe w śródmieściu Londynu: wozy i powozy turkoczą po kocich łbach, handlarze przekrzykują się nawzajem, taczki zderzają się z ręcznymi wózkami, a nadzy do pasa chłopcy z wystającymi żebrami rzucają się z szuflami na dymiące końskie odchody. To najgorętszy dzień w tym roku, przynajmniej tak mi się zdaje, bo pod gorsetem mojej najlepszej jedwabnej sukni czuję dosłownie ogień. Na Paternoster Row upałem dyszy każda cegła, każdy mosiężny uchwyt dzwonka, każda żelazna barierka. Nawet drewniane rusztowania okalające każdy dom w budowie, jeszcze bez okien, są zmożone upałem.

To także najważniejszy dzień w moim życiu, więc dla uspokojenia rozedrganych nerwów obserwuję scenerię, ujmując ją w słowa. Tłumy ludzi drepczą ulicą po tej stronie, na którą pada cień wyższych domów. Strudzone konie ociekają potem. W okienkach karet furkoczą wachlarze z pozszywanych pawich piór. Baty stangretów tracą wigor w tym upale, od którego drży powietrze. A słońce złoci się wielką kulą pod kopułą niezmaconego błękitu.

Robię pauzę, bo rytm ostatniej kwestii szwankuje. Może „przepastne alkowy błękitu” brzmią milej dla ucha niż „kopuła niezmaconego błękitu”. Obracam słowa w ustach, pozwalając

im ześlizgnąć się po języku i zabrzmieć echem w uszach... „Przepastne alkowy błękitu”...

– Patrz, gdzie leziesz, głupia stara flądrol!

Obracam się gwałtownie i potykam, ledwie unikając zderzenia z wózkiem przegniłych głów kapusty. Opada mnie nagle tęsknota za domem, takim znajomym i przyjaznym. Czuję, że w cuchnącym gwarze Londynu nie ma dla mnie miejsca.

Schodzę z zacienionej strony ulicy, po której sunie zwarty orszak zgrzanych ciał. Po słonecznej stronie ludzi jest mniej, ale smród gęstnieje: niemyte ciała, popsute zęby, łachmaniarze. Pod stopami widzę czające się odpadki wszelkiej maści, uwięzione pomiędzy kamieniami bruku: zbielełe szkielety śledzi i skorupy małży, zardzewiałe gwoździe, plwocinę z przeżutym tytoniem, zdechłą mysz, w której żerują czerwce, zeschnięte skórki pomarańczy, ogryzki jabłek obłożone przez muszki owocówki. Wszystko jest albo zeschnięte, albo gnije powoli w narastającym smrodzie. Zatykam nos palcami, bo nie chcę przenosić tego natarczywego smrodu do poezji.

„Przepastne alkowy błękitu”, powtarzam sobie pod nosem. Recenzent mojego pierwszego zbiorku wierszy napisał o nim, że jest „zgrabny i elegancki” i odruchowo budzę w sobie nadzieję, że „przepastne alkowy błękitu” okażą się równie „zgrabne i eleganckie”. Ale co powie o nich pan Thomas Longman, wydawca największych poetów? Myśl o panu Longmanie przywraca mnie z pewnym trudem do rzeczywistości i do mojej misji. Patrząc pod nogi i widząc, że dół sukni mam całkiem wilgotny, jedwab przybrał tam ciemniejszy odcień zieleni. A pod pachami powstały, i stale rosną, czarne plamy potu. Dlaczego nie wzięłam powozu? Stawię się na najważniejsze spotkanie w życiu spocona i zziębnięta jak dziecko w gorączce.

Mosięzna tabliczka oznajmia biura pp. Longmana i S-ki, Wydawcy i Księgarza. Przystaję, nabieram tchu. W tej jednej sekundzie moja przeszłość, ogrom nieba nad głową, krzykliwy chaos Londynu – wszystko to zbiega się w jeden drżący punkt. Stało się. Chwila, której wyczekiwałam przez dziesięć długich lat. „Oto wschodzi moja gwiazda”...

Zdejmuję z karku luźne pasemka włosów i wtykam je pod czepek. Pospiesznie przyglądam wilgotne fałdy sukni i oto jestem: rozdygotana, lecz gotowa. Pociągam onieśmielająco długą linkę od dzwonka i podążam za wskazówką niemych gestów przez pokoje pełne książek do wąskich schodów. Na ich szczycie znajduje się pojedynczy pokój tak wypchany książkami, że moje spódnice ledwo się w nim mieszczą. Pan Longman – zakładałam bowiem, że to on – siedzi za biurkiem nad rozłożoną mapą, więc wita mnie tylko widok jego bujnej czupryny.

Mężczyzna mnie ignoruje, więc korzystam z okazji, by mu się przyjrzeć okiem poetki. Jest obwieszony złotem. Na każdej dłoni złoty sygnet i złota dewizka zaplątana w czarne fałdy surduta. Włosy mają stalowy odcień siwizny i okrywają głowę gęstą falą. Gdy unosi głowę, widzę zaczerwienioną twarz, której żywą barwę podkreśla lawendowy fular podpierający fałdy podbródka. Oczy są głęboko osadzone pod krzaczastymi brwiami.

– Aaa, pani Acton...

Przygląda mi się spod półprzymkniętych powiek.

Oblewam się rumieńcem.

– Panna Acton – poprawiam, zuchwale akcentując słowo „panna”.

On kiwa głową, po czym odsuwa na bok mapy, książki i kałamarze, aby przez tak uczyniony kanał wyciągnąć rękę. Spoglądam na jego bladą, pulchną dłoń. Czyżbym miała uścisnąć

mu rękę, tak jak to czynią dżentelmeni? Nie widzę, żeby miał zamiar cmoknąć mnie w rękę albo powstać i się uklonić. Podaję mu więc rękę i czuję przy tym dziwne podniecenie, mroczny dreszczyk czegoś niewyjaśnionego.

– Pani coś dla mnie ma, jak mi się zdaje.

Grzebie w papierach rozestanych po całym biurku.

– Wyjaśniłam to w swoim liście, sir. To zbiór poezji, nad którym pracowałam usilnie przez dziesięć lat. Mój poprzedni tomik wydał pan Richard Deck z Ipswich, książka była nawet u pana w sprzedaży.

Gdy wypowiadam te słowa – płynniej, niż się spodziewałam – w wyobraźni rysuje mi się taki obraz: panna L.E. Landon czyta na głos mój wiersz z tomiku, który jest pięknie oprawiony w najgładszą foczą skórkę, z moim nazwiskiem wytłoczonym złotą czcionką. Wizja jest tak wyraźna, tak jasna, że dostrzegam ślad łezki w oku lektorki i pełen uznania wyraz jej ust, gdy z namaszczeniem przewraca kartki, jak gdyby miała do czynienia z czymś tak delikatnym i cennym jak gęsi puch.

Wtem jednak pan Longman robi coś bardzo dla mnie zaskakującego i przykrego. A panna L.E. Landon w jednej chwili znika mi z oczu wraz z moim tomikiem. Pan Longman kręci głową, dając mi do zrozumienia, że mylę fakty w sposób niewybaczalny.

– Zapewniam pana, sir, że mój tomik znajdował się w ofercie Longmana i Spółki, podobnie jak wielu innych szacownych księgarń. Miał nawet dodruk po pierwszym miesiącu od wydania i...

Pan Longman przerywa mój monolog głośnym, niecierpliwym westchnieniem. Zabiera rękę z biurka i zatrudnia ją do otarcia czoła chusteczką.

– Osobiście realizowałam subskrypcje, a zamówienia miałam z miejsc tak odległych jak Bruksela, Paryż i Wyspa Świętej Heleny. Moi czytelnicy są zdania, że potrzebuję wydawcy o zasięgu światowym, właśnie takiego jak pan, sir.

Słucham własnego głosu i uderza mnie obecna w nim nuta desperacji. I pychy. Przypominają mi się słowa matki: „zanadto łaknie sławy... zbyt ambitna... za grosz skromności”...

Pan Longman dalej kręci głową, i to z coraz większym zapamiętaniem, aż trzęsą mu się wszystkie fałdy podbródka, a z czoła kapie pot, plamiąc mapę.

– Poezja, moja panno, to nie jest zajęcie dla damy – burczy.

Tak mnie tym zaskoczył, że cała sztywnieję. Czyżby nie słyszał o pani Hemans? O pannie L.E. Landon? O Annie Candler? Usta same mi się otwierają, żeby zaprotestować. Ale pan Longman ubiega mnie machnięciem ręki, jakby wiedział, co zamierzam powiedzieć, i nie miał ochoty tego słuchać.

– Co innego pisanie powieści. Powiastki, panno Acton, cieszą się wielkim wzięciem wśród młodych dam. – Przeciąga słowo „młodych”, modulując tembr głosu. A ja czuję, że po raz drugi pali mnie rumieniec. Uczucie podniecenia i pewności siebie pierzcha bez śladu.

– Powiastki romantyczne. Nie ma pani dla mnie czegoś takiego?

Mrugam gwałtownie, próbując zebrać myśli. Czy on w ogóle czytał mój list? I tych pięćdziesiąt wierszy, które wykaligrafowałam własnoręcznie swoją najlepszą kursywą i posłałam mu sześć tygodni temu? Jeżeli nie, to po co pisał do mnie z zaproszeniem na spotkanie? Ku swej rozpaczycy czuję gulę w gardle, a dolna warga mi drży.

– No właśnie – ciągnie pan Longman, jakby mówił sam do siebie. – Interesowałby mnie romans gotycki.

Biorę się w garść, przygryzam drżącą wargę. Zapala się we mnie jakaś iskra – złości? Irytacji? – i mówię:

– Kilka moich wierszy ukazało się ostatnio na łamach „Sudbury Pocket Book” i „Ipswich Journal”. Mówiono mi, że to dobre wiersze.

Sama siebie zdumiewam tym wybuchem zuchwałości. Ale pan Longman tylko wzrusza ramionami i obraca oczy na niski wybrzuszony sufit.

– Proszę mi nie przynosić poezji! Dzisiaj nikt poezji nie czyta. Jeżeli nie potrafi pani napisać dla mnie gotyckiego roman-sidla, to...

Jego otwarte dłonie lądują na biurku w geście bezradności.

Gapię się na te puste dłonie z uczuciem, że całe moje wnę-trze – mój duch, moja zuchwałość – zostało mi wyrwane i wy-rzucone na śmietnik. Dziesięć lat żmudnej pracy – na próżno. Wszystkie emocje, wysiłki, wyrzeczenia, które włożyłam w te wiersze, nie zdały się na nic. Pot ścieka mi strużkami po żebrach i brak mi tchu, jakby ktoś ścisnął mnie za gardło. „Bolesne bicie złamanego serca cichnie, ustaje...”.

Pan Longman drapie się po głowie i dalej patrzy w sufit. Podeszwy jego butów stukają o deski podłogi pod biurkiem. Zachowuje się, jakby zapomniał o mojej obecności. A może za-stanawia się, czy jestem osobą, której można powierzyć gotycki romans. Przypominam o sobie dyskretnym kaszlnięciem, które niestety bardziej przypomina rozpaczliwy spazm.

– Przepraszam, sir, czy zechce mi pan zwrócić moje wiersze?

Pan Longman nagle klaszcze w ręce i zrywa się na równe nogi, pobrzękując dewizką zegarka i srebrnymi sprzączkami butów.

– Namysliłem się. Powieściopisarzy mam chwilowo dosyć. Proszę więc nie przynosić mi żadnej powiastki.

– A mój rękopis? Nie otrzymał go pan, sir? – dukam tak cicho, że ledwo mnie słychać.

Czy to możliwe, że zgubił moje wiersze? Zawieruszył je wśród tych map i papierzysek? A teraz mnie odprawi z pustymi rękami? Nawet bez obiecanego zlecenia na powiastkę. „A nie mówiłam?”, szepcze mój wewnętrzny głos zwątpienia. „Oszustka... oszustka... Twoje żalosne wierszowane wypociny wylądowały zapewne w ogniu kominka...”. Rozglądam się po pokoju, instynktownie wypatrując żeliwnej osłony paleniska, w którego popiołach tkwi ostatni strzępek moich wierszy.

Ni stąd, ni zowąd, pan Longman powtórnie klaszcze w dłonie. Spoglądam na niego, zastanawiając się, czy w ten sposób odprawia natrętów. On jednak patrzy mi prosto w oczy błyszczącym wzrokiem, a ręce wciąż trzyma złożone.

– Książka kucharska!

Pełna niedowierzania ściągam brwi. Ten człowiek jest grubianinem i dziwakiem, myślę sobie. Za kogo on mnie uważa? Owszem, mam trzydzieści sześć lat i jestem niezamężna, na mojej sukni znać ślady potu, ale dalibóg! Nie jestem panną służącą!

– Niech pani wraca do domu i napisze dla mnie książkę kucharską. Wtedy się dogadamy. Dobrego dnia, panno Acton.

Jego dłonie zagłębiają się w śmietnik na biurku i przez moment żywię nadzieję, że szuka tam moich wierszy. On jednak gestem wskazuje mi drzwi.

– Ja nie... nie umiem... gotować – bąkam, zdążając ku drzwiom krokiem lunatyczki. Rozczarowanie przyćmiło mi umysł. Z mojej brawury nie pozostało nic a nic.

– Skoro potrafi pani pisać wiersze, to i przepisy kulinarne potrafi pani sklecić. – Postukuje w szkiełko kieszonkowego zegarka i przykłada go do ucha z poirytowanym stęknieniem. – Przez ten piekielny upał straciłem masę cennego czasu. Do widzenia!

Bardzo chciałabym być już daleko od haniebnego smrodu Londynu i upokorzenia propozycją zamiany moich wierszy na coś tak trywialnego i użytkowego jak książka kucharska. Prawie że zbiegam po schodach.

Nagle rozlega się za mną głos pana Longmana:

– Zgrabną i elegancką, panno Acton. Proszę mi przynieść książkę kucharską tak zgrabną i elegancką jak pani wiersze.

2

ANNA

Krem z rzepy

Dzisiaj wstydę się jak jeszcze nigdy. Zdrzemnęłam się niechcący na kwadransik, a ocknąwszy się, ujrzałam nad sobą czarną zjawę. Pastora.

– Ojej, wielbny Thorpe – dukam bez sensu, gramoląc się na nogi. Natychmiast się domyślam, czemu przyszedł. Prawdę mówiąc, czekałam skrycie na ten dzień.

Oczy pastora krążą na wszystkie strony. Lustruje naszą chatę: pajęczyny nad kuchnią, sterty cuchnących szmat, których nie miałam czasu wyprać, czarne kule psiej sierści po kątach. Dobrze chociaż, że zmiotłam przed kominkiem i wyniosłam popiół.

Za plecami pastora widzę mamę, która szarpie zamotane na sobie prześcieradło. Widziałam już takie supły, to robota pani Thorpe. Domyślam się, że znaleziono mamę nieoddzianą. Zapewne nad rzeką Medway, gdzie chętnie się myje, tylko potem zapomina włożyć suknię. Wzdragam się na myśl o wszystkich przepływających tamtędy łódkach i o mężczyznach z prochowni, którzy się na nią gapili.

– Tego już za wiele! – sapie wielbny Thorpe, głaszcząc się jedną ręką po wydatnym, miękkim brzuchu upasionym na pasztetach, ciastach i puddingach.

– Wałęsała się? Była przywiązana do mnie linką, ale zasnęłam...

Nie mówię mu, że przez całą noc mama nie pozwalała mi spać, ciągle miała jakieś zachcianki, szarpała linkę, szczypała mnie i kopała, darła na sobie koszulę paznokciami.

– Od jak dawna ona...? – Pastor ruchem głowy wskazuje ziemię, pod którą, jak wiadomo, jest piekło, jak gdyby dawał mi do zrozumienia, że to diabelska sprawa.

Ja jednak wiem, że Pan Bóg kocha całą swoją trzódkę, więc odpowiadam mu bez wahania, wskazując na niebo.

– To już pięć lat, jak stała się taka... roztargniona.

Nie zdradzam mu, że z mamą jest coraz gorzej, że po ostatniej pełni przestała poznawać nawet rodzoną córkę.

– Musicie ją oddać do domu wariatów, Anno – mówi pastor. – Na Barming Heath otworzyli nowy.

– Będę ją mocniej do siebie przywiązywała – obiecuję, unikając jego wzroku. Wstyd pali mi policzki. Czy pastor znalazł mamę osobiście, czy natknął się na nią ktoś inny? Ktoś, kto ją przyprowadził na plebanię zamiast do domu? A może zapędziła się aż do kościoła? Żołądek ściska mi się w kulkę na myśl o obłąkanej mamie siedzącej w kościele na golasa albo w podartej bieliźnie.

– Co dzisiaj jadłaś, Anno?

Zadając to pytanie, pastor wpatruje się w Septimusa, który wyciągnął się przed kominkiem z jednym kaprawym ślepiem otwartym, a drugim zamkniętym. Wzrok pastora jest czujny, jakby wielebny podejrzewał, że nasze biedne chude psisko lada dzień trafi do garnka.

– Dziękuję, jadłam lepiej, niż mama jadłaby w przytułku dla ubogich albo w szpitalu wariatów.

Sadzam mamę na podłodze i luzuję supły prześcieradła, mając nadzieję, że będzie spokojna. Chciałabym, żeby pastor już sobie poszedł, on jednak upiera się przy swoim pytaniu, które powtarza trzy razy.

– Chleb z cebulą, obie go jadłyśmy, z odrobiną smalcu – odpowiadam mu wreszcie. Nie dodaję, że chleb był czerstwy jak deska. Ani że cebule powypuszczały szczypior długi jak moja ręka. – A do tego krem z rzepy – kłamię po namyśle.

– Twoja matka powinna się znaleźć w szpitalu dla obłąkanych. Nie poniesiecie żadnych kosztów, a będzie tam pod dobrą opieką. Twojemu ojcu mógłbym dać robotę na cmentarzu.

Te słowa dają mi do myślenia. Rozumiem, że wielebnemu zależy na pozbyciu się mamy, ale obietnica pracy dla taty to coś nowego. Ten człowiek musi być święty: przecież nie dalej jak trzy lata temu znalazł pracę mojemu bratu Jackowi i to w Londynie, przy roźnie w kuchni klubu dżentelmenów. Przypominam mu, że tato ma tylko jedną nogę, bo drugą stracił, walcząc za króla i ojczyznę.

– Tak, wiem – odpowiada, trzepocząc białymi dłońmi. – Pan Bóg nie życzy sobie, żeby twoja matka biegała goła po polach. To szkodzi... tej... no... – urywa i mruży oczy. – Moralności naszych parafian.

Czyżby Bóg rozmawiał z pastorem? Czy Bóg skarżył mu się na szaleństwo mamy? Może Bóg wspomniał też pastrowi o tamtej nocy, kiedy zastałam tatę zaciskającego grube paluchy na szyi mamy, jakby to była gęś na świąteczny obiad? Tatę poniosło, a tak śmierdziało od niego piwem, że ledwo dało się wytrzymać. Całe szczęście, że nie

ma nogi i że był pijany, bo w końcu zwałił się na podłogę, wyjąc z rozpacz.

– Ona już nic nie pamięta, Anno. Nawet mnie nie pamięta. Ona już nie jest sobą. Nie jest człowiekiem.

Mama przez cały ten czas leżała na sienniku z szerokim uśmiechem na twarzy i nie miała pojęcia, że własny mąż omal jej nie udusił.

Wielebny Thorpe pomału wychodzi tyłem z chałupy, a oczy ma spuszczone, żeby nie widzieć czołgającej się po podłodze mamy. Widać jej skórę na głowie, jak pożółkły pergamin, włosy ma cienkie i zmierzwione. Układam ją na sienniku w skulonej pozie śpiącego kota. W skotłowanym prześcieradle, z supłami na ramionach, kolanach i biodrach przypomina właściwie szmatę do prania, a nie istotę ludzką. Nagle sobie uświadamiam, że jestem jedyną osobą, która się o nią troszczy, która umie ją uspokoić.

– Obiecuję przypilnować, żeby chodziła ubrana – mówię błagalnie. – I nauczę się wiązać lepsze węzły, żeglarskie.

Pastor przystaje i obrzuca chatę znaczącym spojrzeniem. Podążam za jego wzrokiem prześlizgującym się po półce, na której swego czasu stały książki mamy: jej modlitewnik, *Gotujemy prosto i łatwo*, *Baśnie niemieckie* oprawne w szkarłatne płótno. Półka jest teraz pusta. Ogołocona. Czekam, aż pastor zapyta, dlaczego nie mamy ani książki do nabożeństwa, ani Biblii. On jednak mówi coś, co mnie zdumiewa.

– Mądra z ciebie dziewczyna, Anno. Rozumna. Nadałabyś się na gosposię. Albo na piastunkę. Nie chciałabyś spróbować takiej pracy?

Mrugam z niedowierzaniem i milczę.

– Matka nauczyła się czytać i pisać, prawda?

Tak jest, więc kiwam głową, a pastor ciągnie:

– Jeżeli będziesz nienagannie uczciwa i pracowita, możesz nawet zostać pokojówką wielkiej pani. Zauważyłem, że nie boisz się ciężkiej pracy.

Zanim zdążyłam ugryźć się w język, z moich ust wyrывa się najskrytsze pragnienie, które przemyka mi przez myśl co noc niby tęczowa wstążka:

– Marzę o zostaniu kucharką.

Żałuję, że to powiedziałam, jasne, że żałuję. Ale stało się, słów nie cofnę, więc udaję, że niezmiernie zajmuje mnie wypłatywanie gałązki z włosów mamy.

Wielebny Thorpe pokasłuje – nie tak chrapliwie jak tato, tylko tak, jakby okrucieństwo ciasta utknało mu w przełyku.

– To zaiste ambitny zamiar – mówi wreszcie. – Może na początek u jakiejś niedużej rodziny. Może zaczęłabyś jako podręczna. Ile ty masz lat, Anno?

– Na świętego Michała skończę siedemnaście.

Staram się mówić z dużą pewnością siebie, ale myślami błędzę już daleko. Snuję wizje placków z grubą kruszonką, lepkich maślanych puddingów, ptaków pieczonych na rożnie, półek uginających się pod dojrzałymi owocami z sadu, baryłek wypełnionych rodzynkami, lasek cynamonu długości mojej dłoni i wszystkich innych cudów, o których opowiadał mi Jack.

– To trochę dużo na to, żeby wstąpić na służbę, ale i tak poszukam dla ciebie miejsca – obiecuje pastor. – Każdy musi się trudzić na tym Bożym świecie.

Powinnam się rozżłościć, bo przecież daje mi do zrozumienia, że teraz się nie trudzę, ale słucham go już tylko jednym uchem. Drugim nasłuchuję odgłosów kuchni, w której siekam, kroję, mieszam, nabijam prosiaki na rożen, zbieram tłuszcz z cielejcej

nerki. Tak jak mój brat w Londynie. Jack mówi, że jedzenia jest tam ponad ludzkie wyobrażenie. Garnki są większe od kadzi na mleko, żeliwne kotły większe od naszej chaty, spiżarnie większe od pańskich domów, a mózdzierze większe od mojej głowy. Nagle zaczyna burczeć mi w brzuchu, i to głośno, więc ściskam się pod boki, żeby pastor sobie nie pomyślał, że nie nadaję się do pracy w prywatnej kuchni.

Wielebny schyla się w naszych drzwiach, przez które najwyżej osioł mógłby przejść wyprostowany.

– Twoja matka będzie dobrze karmiona i otoczona opieką, a ty i twój ojciec pójdziecie na zarobek. Postanowione.

Oczy mnie pieką. A więc mogę zostać kucharką, tylko pod warunkiem że mamę zamkną w domu wariatów? Czy na to właśnie się zgodziłam?

3

ELIZA

Poncz oksfordzki

Powóz kołysze się i buja, a ja próbuję znaleźć rozrywkę w widoku szkarłatnych maków i wielkich zmierzwionych kop siana. Ponad wyschłe pola wzlatują wrony na czarnych postrzępionych skrzydłach. Lecz całe to piękno tylko pogłębia moje przygnębienie. Dawniej ekscytowałabym się wynajdywaniem najtrafniejszych słów do opisanie takiej scenerii, ale dzisiaj wrażenia zmysłowe mnie drażnią. Nie umiem przestać myśleć o domownikach czekających wieści o moim spotkaniu ze słynnym panem Longmanem. Słowa jego odmowy dźwięczą mi w uszach przez cały czas tej długiej podróży: „Poezja to nie jest zajęcie dla damy... Dziś nikt nie czyta poezji...”. I to końcowe uwłaczające mi żądanie: „Niech pani wraca do domu i napisze dla mnie książkę kucharską. Wtedy się dogadamy”. Dogadamy się, akurat! Tej ostatniej kwestii nie mam zamiaru powtarzać. Nikomu.

Gdy powóz zbliża się do Ipswich, uczucie wstydu i porażki ciąży mi jak kamień. Niebo czernieje, usiane teraz tysiącami maleńkich srebrnych gwiazd. Z ciemności wyłaniają się wreszcie kształty naszego domu, płomienie świec migają w jego oknach jak blade ćmy. Chciałabym zapaść się pod ziemię.

Frontowe drzwi rozwierają się na oścież i bucha z nich światło, głosy, bębnienie pianina.

– To Eliza! Eliza wróciła!

Pianino milknie. Z ciemności wynurzają się świece. A za ich płomieniami przejęte twarze Katarzyny, Edgara i Anny. Nawet Hatty, nasza pokojówka, wyszła na dwór, żeby mnie powitać.

Z tyłu za nimi drepcze matka.

– To ty, Elizo? – dopytuje się, wyteżając wzrok w ciemności. – Nie mogliśmy się ciebie doczekać! Wchodź prędko, bo inaczej wszystkie mole z Suffolk zlecą się gnieździć w moich nowych zasłonach!

Jeszcze nie zdążyłam dobrze wysiąść z powozu, a już zasypują mnie pytaniami.

– No i co mówił pan Longman? Opowiadaj! – domaga się Katarzyna. – Po kolei od początku, ze szczegółami.

– Tylko nie od początku, bo spędzimy tu całą noc – zrzędzi Edgar. – Lepiej przejdź od razu do sedna: jak ci poszło u pana Logmana?

Łapie mnie kolka pod żebrami. Rozczarowanie najbliższych jest o wiele trudniejsze do zniesienia niż własne. Mama wprawdzie na pewno zatriumfuje w duchu („A nie mówiłam?”), ale nie Edgar. Nie moje siostry. Nie ojciec. Ich rozczarowanie będzie bolesne.

– A fe, Edgarze, jakiś ty niecierpliwy! Anno, idź poproś kucharkę, żeby czym prędzej wystawiła na stół wazę swojego najlepszego oksfordzkiego ponczu. John jeszcze nie wrócił, bardzo się niepokoję. – Mama załamuje ręce. – A obiecywał, że będzie w domu przed twoim powrotem.

To sprawia mi niejaką ulgę. Najbardziej bowiem lękam się przyznać do porażki ojcu. On zawsze we mnie wierzył, zawsze

popierał moje ambicje. Dał pieniądze, gdy zamarzyło mi się stworzenie szkoły dla młodych dam. Sfinansował wydanie mojego pierwszego tomiku poezji, nalegając na to, by papier i oprawa były najwyższej jakości.

– Z pewnością ugrzązł w papierkowej robocie albo zawieruszył gdzieś klucze – uspokajam matkę, starając się nie okazać w głosie ulgi, jaką odczułam.

– Jak ci poszło u pana Longmana? – naciska Edgar, rozkładając poły surduta i sadowiąc się w fotelu. – Założę się, że pan Longman ocenił twoje wiersze jako o niebo lepsze od poezji tego łajdaka, lorda Byrona. – Zadowolony z siebie pociera energicznie dłońmi o uda. – No gdzie ten poncz? Chcemy wznieść toast za twój sukces!

– Przestań – upominam go szeptem. – Poncz niepotrzebny. Nie ma czego świętować.

Spuszczam wzrok: trzewiki mam całe upaprane londyńskim błotem, ich perłowe guziczki poczerniały od węglowego pyłu. Nie znajduję stosownych słów. Nie umiem osłodzić im rozczarowania.

– Wydawcy nie chcą już poezji – mówię wreszcie.

– Bzdura! – protestuje Edgar, wciskając się w fotel. – Czy to dlatego, że upierasz się pisać pod własnym nazwiskiem?

– Powiedziałś mu o swoim ostatnim tomiku? O tym, że po niespełna miesiącu miał dodruk? – pyta łagodnie Katarzyna.

– Pan Longman nie zaproponował mi wydania wierszy pod pseudonimem. Po prostu ich nie chce. – Przesuwam w palcach naszyjnik z perełek. Zasycha mi w gardle. – Przepraszam was.

– No cóż – odzywa się matka – ja zawsze byłam zdania, że twoje wiersze są zbyt szczere i trochę niedelikatne. Przypuszczam, że pan Longman odrzucił je właśnie z tych powodów.

Zaciskam zęby i spuszczam wzrok. Widzę białe otoczki soli wokół plam potu pod pachami sukni, która cała cuchnie Londynem, podobnie jak ja.

– Powiedział, że nikt już nie chce poezji. – Urywam, żeby przełknąć ślinę. – Ludzie chcą teraz powieści, romansów, zresztą najchętniej gotyckich.

– A nie umiałabyś czegoś takiego napisać, kochana Elizo? – pyta Katarzyna.

– To jeden wielki nonsens. Nie potrzebujesz pieniędzy. Twoje wiersze to przecież tylko... tylko... – głos Edgara zamiera, jakby brat nie był pewien, po co właściwie pisałam te wiersze.

– Zanim się obnażyłaś w poprzednim tomiku – dorzuca matka. – Z racji zawartej w nim niedyskrecji niektórzy sąsiedzi dziwnie na mnie patrzą. Nie powinnaś była wydawać tych wierszy pod swoim... naszym... nazwiskiem. Były nieprzyzwoite.

– Więc pan Keats i pan Wordsworth mają prawo obnażać swoje namiętności, a ja nie? O to ci chodzi?

– Sądzę, że mama wołałaby, żebyś pisała te swoje gryzmoły w zaciszu własnego pokoju – mówi Edgar. – Prawdziwa poezja nie potrzebuje publiczności, nieprawdaż?

Gorączkowo szukam w głowie słów, które im uświadomią, dlaczego pragnę publiczności, dlaczego zależy mi na podpisywaniu tych „gryzmołów” własnym nazwiskiem. Już mam: chodzi mi o to, że dzięki publikacji czuję się częścią jakiegoś głębszego, bogatszego świata, w którym moja osoba ma znaczenie. Jak miałabym to osiągnąć, zachowując swoje „gryzmoły” tylko dla siebie? Pozostając anonimowa, bezimienna?

Matka kiwa powoli przekrzywioną głową.

– Starania o publikację mają w sobie coś nieskromnego. To wprost nie po Bożemu, żeby dama...

Sztywnieję, piecze mnie pod powiekami. Znowu wracają do mnie słowa pana Longmana „poezja to nie jest zajęcie dla damy”... Ale wciągać w to Boga, jak czyni matka, sugerować, że taka jest wola Boża, to już za wiele. Rzucam jej gniewne spojrzenie, lecz matka pobożnie patrzy w niebo.

Anna, kochana, dobra Anna, bierze mnie za rękę.

– Jest jeszcze wielu innych wydawców, Elizo. Nie powinnaś rozpaczać.

Z wdzięcznością potakuję ruchem głowy, ale głos więźnie mi w gardle. Zanadto dokuczyli mi matka i Edgar, dokładając swoje uszczypliwości do słów pana Longmana. A pod przykrywką złości i przekonania o prawie do publikacji czai się we mnie nieustanne zwątpienie. Oszustka. Oszustka. I jeszcze coś: mgliste i nieokreślone poczucie straty. Złość, rozgoryczenie, zwątpienie. Kimże ja teraz jestem? Starą panną z hrabstwa Suffolk mającą na swoim koncie jeden marny tomik wierszy...

Wpatruję się w srebrną wazę do ponczu, w której odbija się moja twarz okolona ciemnymi włosami przetykanymi siwizną. Oczy ginące w koronce zmarszczek. Bruzdy w kącikach ust. Mam trzydzieści sześć lat. Jestem zerem.

Wymawiając się zmęczeniem po podróży, uciekam na górę do swojego pokoju. Chcę zostać sama. Zagrzebać twarz w poduszce i zapomnieć o wszystkim. Zapalam świecę i kładę się na łóżku, trochę żałując, że nie wypitałam szklaneczki oksfordzkiego ponczu dla kurażu. Przez szparę pod drzwiami dociera do mnie ciepły, korzenny zapach portwajnu, jego opary otulają mnie jak najmniejszy szal z jagnięcej wełny. Szklaneczka ponczu pomogłaby mi zasnąć, myślę sobie teraz. Zatarłaby wspomnienie słów niektórych członków mojej rodziny. Choć

chyba nie słów pana Longmana, które wspominam ze zgrozą i wstydem. Gdybym była mężczyzną, nie odprawiłby mnie z bagatelny zleceniem na książkę kucharską. Odzywał się do mnie jak do jakiejś służącej! Niegodnej nawet powieści. Albo choćby podręcznika botaniki czy książki o motylach.

Na pocieszenie wdycham korzenny zapach, gdy wtem coś gwałtownie rozprasza moje myśli. Z dołu dobiega przeciągłe, piskliwe wycie przypominające przenikliwy krzyk sowy. Zrywam się i siadam w pościeli. Dom rozbrzmiewa wołaniami, trzaskaniem drzwi, szumem przeciągu z hallu, który wdziera się aż tu, na piętro. Czyżby wybuchł pożar?

Już nie myślę o panu Longmanie, o poezji, o sobie. Chwytam lichtarz, wybiegam na podest i przechylam się przez barierkę. Wszyscy zebrali się w hallu pod szerokim kręgiem lampy. Są wyraźnie czymś poruszeni. Ojciec, który już wrócił, drepcze nerwowo w kółko. Anna i Katarzyna szlochają. Edgar coś krzyczy. Matka trzyma się oburącz za głowę. A Hatty patrzy na to wszystko z rozdziawioną gębą.

Słyszę na schodach tupot ciężkich butów. To ojciec: jego siwe włosy są zmierzwiłone, rozwiązany fular zwisa mu z szyi, a oczy płoną za drucianymi okularami.

– Co się dzieje? – pytam, na równi zaskoczona i przerażona.

– Koniec z nami, Elizo! Koniec!

Odwraca się i zbiega na dół, do salonu, ja zaś depczę mu po piętach. Ojciec spostrzega wazę z ponczem i kieruje się ku niej chwiejnym krokiem. Ujmuje srebrną chochlę i pije prosto z niej, oblewając sobie gors.

– Wszystko straciliśmy.

Nabiera ponownie ponczu, ręka mu drży. Karminowy płyn ścieka mu po szyi, plamiąc koszulę, fular, klapy surduta.

– Jak to? – pytam, podejrzewając że ojciec coś pomylił albo się upił, albo dostał gorączki mózgowej. Co tydzień „Ipswich Journal” drukuje listę bankrutów, zazwyczaj jest ich kilkunastu, lecz przecież niemożliwe, żeby należał do nich mój ojciec, dżentelmen, licencjat prawa z St. John’s College Uniwersytetu Cambridge.

– To nie moja wina, Elizo. Zawyżyli mi opłatę za wynajem pubów Pod Żłotym Lwem i Pod Królewską Głową. Znacznie zawyżyli. A jako że padłem ofiarą kradzieży ośmiu buszli węgla, nie miałem gotówki. Zapożyczyłem się, innego wyjścia nie było.

Jeszcze raz zanurza chochlę w ponczu i unosi do ust.

– U kogo się zapożyczyłeś? Nie możemy oddać?

Wpatruję się w ojca, jakby to był ktoś obcy, kogo nigdy nie znałam.

– Dług jest zbyt duży... Ogłoszą mnie bankrutem i wsadzą do więzienia z pospolitymi przestępcami. Już po nas, Elizo!

Gdy wyciągam rękę, żeby odebrać mu chochlę, do salonu wpada Katarzyna.

– Elizo, chodź prędko! Mama zemdląła. Co robić, co robić?

4

ANNA

Kleik pikantny

Obrabiając nasze poletko wielkości chustki do nosa, rozmyślałam o słowach pastora. Mama jest do mnie uwiązana trzyjardową linką. Razem grzebiemy w ziemi motyką, próbując zasadzić kilka porów. Nasze „razem” polega na tym, że bezustannie strofuję mamę: „Mamo, proszę cię, uklęknij. Mamo, nie szarp linki. Mamo, nie łap mnie za rękę!”. Całymi dniami nic tylko „Mamo, to” i „Mamo, tamto”.

W tej chwili mama z zapałem żuje linkę swoimi czterema zębami, które tak już się ruszają, że pewnie niedługo jej wypadną. Wyrywając jej linkę z ust, widzę, że język ma pokryty grubym nalotem. Pociągam nosem i wyraźnie czuję smród wymiocin. A w domu nie ma pieniędzy na doktora: wszystko, co przysłał Jack, poszło na nowe, solidniejsze drewniane kule dla taty. Pastor mówi, że do pracy na cmentarzu tato musi mieć kule pierwszorzędnej jakości.

– Mamo, siedź spokojnie!

Linka wrzyna mi się w ramię przy każdym szarpnięciu mamy. Skarcona mama podnosi chude ręce i wyraźnie chce mnie uderzyć. Uchylam się i już, już mam zawołać na pomoc tatę, który śpi nieopodal na sienniku, gdy wtem od drogi dobiega mnie znajomy śpiew. Serce podskakuje mi z radości. Ten głos

poznałabym zawsze i wszędzie. Zawsze taki wesoły, pogodny. Jeszcze chwila i Jack przekracza furtkę z właściwą sobie kocią gracją.

– Kto to, Anno? – W rozbieganych oczach mamy maluje się przerażenie. A ja, uradowana widokiem Jacka, zrywam się, żeby biec mu na spotkanie, nie zważając na linkę. Ciągnę za sobą potykającą się mamę, która próbuje się uczepić moich pleców.

– Na miłość boską! – wykrzykuje Jack, natychmiast tracąc animusz na nasz widok. – Po co ten sznur?

Rozsupełuję swój koniec linki i krępuję nim niespokojne ręce mamy. Dopiero potem wyjaśniam Jackowi, że mamie się pogorszyło, że ucieka z domu, obnaża się publicznie i nikogo już nie poznaje, nawet najbliższych. Kończę swój raport, szlochając i krztusząc się płaczem.

– Mamo? Mamo? – zagaduje Jack, kucając przed nią w błocie. – Wracam z Londynu, przyniosłem pieniądze dla ciebie i taty. Wędrowałem pieszo dwa dni z pasterzem kóz, żeby ci... Mamo?

Ona jednak patrzy na Jacka jak na obcego i oczy ma pełne lęku.

– Nie znam pana – mamrocze, mocując się z linką krępującą nadgarstki. Nie mogąc dać jej rady, usiłuje czmychnąć na drogę. Ściągam ją z powrotem i przytrzymuję, z płaczem głaszcząc po prawie tysej głowie, aż się uspokaja. Kości ma cienkie jak kurczak i cuchnie jak nieboskie stworzenie. Uświadamiam sobie, że zamieniliśmy się rolami.

– Och, Anno! – mówi z niedowierzaniem Jack. – Naprawdę musisz ją tak wiązać jak osła?

Ocieram oczy brudną od ziemi ręką.

– Pastor chce, żebyśmy ją oddali do domu wariatów. Mówi, że nie wypada, żeby wałęsała się półnago po okolicy. Że to gorszy jego parafian. Więc muszę ją wiązać.

– Taki z niego stróż moralności?! – prychnął Jack. – Od kiedy to klechy mają moralność?

– Cicho bądź. To poczciwy człowiek, chce dobrze. Tato tak mówi.

– Boga można znaleźć tylko w jednym miejscu i nie jest to kościół ani plebania.

– No to gdzie?

Dźwigam się z ziemi i podciągam za sobą mamę, a Jack pomaga nam obu wejść do domu.

– W okruchu chleba – odpowiada Jack bez cienia uśmiechu. – W dobrym posiłku. Ja go najłatwiej znajduję w obfitej kolacji.

Taka odpowiedź i jego drwiący głos zbijają mnie z pantafelów. Przecież mama wychowała nas oboje w ufności do Boga. Chcę powiedzieć bratu, że się myli, że mnie naprawdę dobrze robi, gdy posiedzę sobie w kościele pełnym rzeźbionych aniołów i zapachu świec, w końcu jednak postanawiam porzucić ten temat. Mama siedzi teraz cichutko jak myszka, nie widać, żeby się bała.

– Opowiedz mi lepiej o Londynie, o swojej pracy – proszę Jacka. Mam go dla siebie tak długo, jak tato śpi i mama siedzi spokojnie. Żeby tylko Septimus nie zaczął szczeleć. Szkoda mi czasu na gadanie o Bogu i kościele.

– Pracuję teraz przy rożnach – mówi Jack. – Odzieram ze skóry, patroszę. Mam dwie brytfanny wielkości tego siennika, a rożny tak długi, że można na nich upiec całego barana.

– Całego barana... – powtarzam w rozmarzeniu i zdaje mi się, że czuję woń delikatnej pieczonej baraniny doprawionej ziołami i dymem z palonego drewna. Stawiam na słabym ogniu żeliwny garnek owsianki na wodzie. – Opowiedz mi o wspaniałych daniach, które przygotowujesz.

– Na przykład w zeszłym tygodniu jakiś dżentelmen odesłał do kuchni suflet i pan Soyer dał go nam skosztować.

– Co to jest suflet? – wzdycham, wymawiając nieznane słowo, bo brzmi ono jak delikatny powiew letniego wiatru. Powtarzam je sobie w głowie: suflet. Suflet.

– Ubija się jajka na pianę lekką jak powietrze. I dodaje się śmietankę wymieszaną z masłem, wszystko musi być świeże i lekkie, a masło jak najbielsze, pokrojone w płatki. Potem się to przyprawia. Mistrz Soyer lubi przyprawiać suflety włoskim serem albo, ale to rzadziej, najlepszą gorzką czekoladą. I do pieca. Tam suflet rośnie na niewiarygodną wysokość. Kiedy się w niego wgryzasz, to jakbyś miała chmurkę na języku.

Jack cmoka z upodobaniem.

Mechanicznie mieszam kleik i żal mi, że nie mamy w domu chociaż paru porzeczek, żeby dodać mu smaku. Na wspomnienie porzeczek wyobraźnia podsuwa mi obraz całej mieszanki suszonych owoców. Widziałam taką na targu w Tonbridge: piramidy pomarszczonych, lśniących śliwek i rodzynek, kandyzowana skórka pomarańczowa, krążki jabłka, które po wysuszeniu przypomina najdelikatniejszą jasną skórę.

– Mamy specjalny smalec do dziczyzny. Bekasy, słonki, bażanty, cietrzewie, perliczki... A mięso trzyma się w spiżarni, gdzie wiszą wielkie połcie wołowiny i cielęciny. I prosięta, i jagnięta w całości. Piec jest tak wielki, że może na nim bulgotać dziewięć rondli naraz. – Jack robi pauzę i podnosi oczy na nasz sufit, spękany i poplamiony, z pajęczynami w kątach. – Szkoda, że nie możesz zobaczyć mistrza Soyera. Nosi czerwony берет i sygnet z diamentem wielkości żołędzia. Choćby zupa była nie wiem jak gorąca, zanurza w niej palec, ten z sygnetem, a następnie przesuwa nim po języku. Po czym

dosypuje, czego trzeba: soli, papryki, pieprzu cayenne. Aż smak jest w sam raz.

– To wspaniałe – mruczę pod nosem, zachwycona dramatyzmem tej sceny. Kuchnia wydaje mi się podobna do teatrzyku kukielkowego, jest czymś bajecznym. A jakie to musi być przyjemne nie znać uczucia ssącego głodu, które nachodzi mnie, tatę i mamę, gdy zapasy i pieniądze się kończą. Nie mówiąc o tym, że rozkosznie musi być przebywać w pomieszczeniu, w którym zawsze jest ciepło.

– W naszej kuchni pracuje zatrząsienie dziewcząt. Same ładne. Pan Soyer nie życzy sobie w swojej kuchni brzydkich kucharek.

Jack rozgarnia pogrzebaczem dopalające się węgle i ziewa.

Skupiam uwagę na kleiku, mieszając go ze zdwojonym wigo-rem. Przez moment czuję się tak, jakby zatrząśnięto mi wielkie drzwi przed nosem. Bo jestem brzydka. A od tak dawna marzę o pracy w kuchni razem z Jackiem... Od wielu miesięcy zasypiam z myślą o mistrzu Soyerze w białym kuchennym stroju, który kraje, ubija, smakuje ze mną u swego boku. Mam nauczkę za swoje mrzonki, myślę sobie. Marzenia powinny pozostać marzeniami i niczym więcej. Z wściekłą energią mieszam cienki szary kleik. Mama chwilowo śpi, skulona na sienniku obok taty. Oboje spokojni jak dwa kocury.

– Opowiedz coś jeszcze – mówię głosem cienkim jak pisk myszy. Jack mruży oczy i przygląda mi się z uwagą, ale potem kiwa zgodnie głową i zaczyna mi opisywać wspaniałe dania, które przechodzą mu koło nosa w drodze z kuchni do sali jadalnej. Pieczone gołąbki w liściach winorośli. Ostrygi w chrupkim cieście. Cały wędzony łosoś z Gloucester, w galarecie. Homary z Yarmouth, duszone w winie i ziołach. Kandyzowane jabłuszka.

Cienkie jak papier warstwy maślanej pasty przekładanej śliwkami, morelami, brzoskwiniami i wiśniami, podawane z gęstym, złocistym kremem.

– A my dzisiaj zjemy sobie na kolację kleik ze szczyptą soli i pieprzu – oznajmiam z goryczą.

Na to Jack sięga do kieszeni i wyciąga z niej szary zmięty pakiecik. Gdy go rozwija, natychmiast rozpoznaję zapach wrzosowego miodu.

– To dla ciebie, Anno. – Na jego ubrudzonej dłoni leży lepki i lśniący ułomek plastra miodu, wielkości jaja siewki.

Z uciechy klaszczę w ręce, oblizując się bezwiednie na sam widok. Zagryzam kleik miodem, starając się utrzymać przy smak jak najdłużej w ustach: przesuwam go językiem, przyklejam do trzonowców i wysysam do ostatniej słodkiej drobinki. Opróżniwszy miskę do czysta i oblizawszy zęby z resztek plastra miodu, zwierzam się Jackowi, że pastor chce mnie wysłać na „posadę” i że nazwał mnie „mądrą, rozumną dziewczyną”.

– A jak mama nie zechce iść do jego przytułku? – pyta Jack.

Nic mu na to nie odpowiadam. Nie mówię też, że tato chciał udusić mamę, gdy zostawił ich samych na ledwie godzinę. Jack odstawia swoją miskę na podłogę, żeby Septimus mógł ją wylizać.

– A co ty byś chciała robić, Anno?

– Chcę zostać... – Milknę, ale to słowo samo mi się wyrwa: – ...kucharką.

– Kucharką? – Jack zaśmiewa się tak, że łzy ciekną mu z oczu.

– Owszem – odpowiadam urażona. – Brzydką kucharką.

Jack wskazuje swoją wylizaną miskę po kleiku i skręca się ze śmiechu. Wreszcie, ocierając oczy, mówi, żebym się nie gniewała, ale nawet on po trzech latach pracy w kuchni ledwo co

awansował od obracania roznów. Korci mnie, żeby mu przypomnieć, że ja umiem czytać i pisać, a on nie. Że umiem snuć marzenia. I żywić nadzieje. Ale gryzę się w język. To bez sensu.

Bezwiednie spoglądam na półkę, na której stały niegdyś książki mamy. I ogarnia mnie pewność, że jestem całkiem sama. Dziwne jest to nagłe uczucie opuszczenia: jak gdybym stała na samym końcu ziemi. Zupełnie sama.

5

ELIZA

Pudding z czarnego chleba

Zdejmuję książki z półek, niespiesznie, po jednej, zatrzymując niektóre dłużej w rękach, by pogłodzić szczególnie wytworny grzbiet lub oprawę z tłoczonej włoskiej skóry. Wordsworth, Keats, Shelley, Coleridge. Każdy tom owijam płachtą starej gazety i odkładam do skrzynki po herbacie. Najwolniej opróżniam najwyższą półkę, gdzie stoją dzieła zebrane Anny Candler, siedem tomów poezji pani Hemans i trzy tomy L.E. Landon. Kartkuję je, delektując się znajomymi wierszami – ich lektura mnie uskrzydla.

Spakowawszy swoją skromną biblioteczkę, sięgam pod materac po jeszcze jeden tom, schludny i elegancki, oprawny w szafirowy jedwab. Przysiadam z nim na skraju łóżka: *Wiersze Elizy Acton*. Jakże zdaje się cienki i znikomy. Przeciagam palcem po jego smukłym grzbiecie, wdychając suchą woń kurzu i pergaminu. Zaglądam do środka i ogarnia mnie uczucie satysfakcji, identyczne jak wtedy, gdy trzymałam w rękach swój tomik po raz pierwszy, zaskoczona przemianą, jakiej uległy moje atramentowe rymy za sprawą druku. Zyskały na powadze i znaczeniu. I oddaliły się ode mnie; nastąpiło przecięcie pepowiny. Uczucie to sprawiło mi wówczas przyjemność, którą czuję i teraz. Do chwili, gdy zaczynam się wczytywać, i skóra

mi cierpie: „Pierwszy mój afekt, i ten ostatni – dla ciebie, ciebie jednego – żegnaj, mój miły!”

Jakież to niedojrzałe! Może matka miała rację. Te wiersze są zbyt egzaltowane. Przynajmniej tak je widzę po dziesięciu latach. Moje nowe wiersze są lepsze, zgrabniejsze, dojrzalsze. A mimo to pan Longman... Jego obraz staje mi przed oczami: pulchne paluchy przebierające po kieszonkach kamizelki, tykanie złotego zegarka z dewizką, duszny gabinet i to wielkie wypolerowane biurko, które stało między nami jak Wielki Mur Chiński. Musi mi jeszcze zwrócić moje wiersze. Pewnie je gdzieś zawieruszył. Utonęły w powodzi rękopisów biografii, traktatów naukowych, poezji i powieści gotyckich, nadsyłanych codziennie przez pełnych nadziei autorów.

Wsuwam swój tomik do skrzynki po herbacie i rozglądam się po sypialni: pusty kominek, adamaszkowe zasłony pozdejmowane z karniszy i poskładane w kostkę, stary turecki dywan zwinięty w rulon i oparty na sztorc o mahoniową toaletkę. Zabieramy tylko najniezbędniejsze sprzęty: łóżka z pościelą, dwie wysokie komody, stół kuchenny z wiązowego drewna i mahoniowy stół jadalny z krzesłami do kompletu. Całą resztę sprzedaje się na licytacji: ryciny i malowidła, kryształ, srebrny półmisek, puchowy materac, zegary ściennie, chodniki i książki. Tylko moja biblioteczka jedzie ze mną, bo ją wywalczyłam, oddając w zamian całą biżuterię. Ku zgorszeniu moich siostr, którym nie mieści się w głowie, że można woleć książki od potrójnego sznura pereł, złotych kolczyków z diamentami i broszki z ametystów i różowego kwarcu.

– Elizo! Elizo! – dobiega mnie z dołu głos matki.

Dociskam wieko skrzynki po herbacie, która zostanie zabita gwoździami, i schodzę na dół. Dom jest nie do poznania:

poprzesuwane meble, pozwijane dywany, portrety i mapy pozdejmowane ze ścian, okna bez zasłon. Odbywa się zawijanie i pakowanie do skrzyń porcelany, książek, luster i wszystkich bibelotów z moich młodych lat. Ozdobią teraz domy obcych ludzi. My zaś przeprowadzimy się do wynajętego mieszkania. Ale dopiero po ciemku, żeby nikt nas nie widział. Jak nocni złodzieje.

Wchodzi matka, szarpiąc nerwowo dżetowy krzyżyk zawieszony na szyi.

– Kucharka jest w strasznym stanie. Idź tam, Elizo, i spróbuj coś zrobić.

Odwraca się do chłopaka stojącego beczynn timeru hallu i zapędza go do roboty.

– Do kuchni?

W mieszczącej się w suterenie kuchni nie byłam od miesięcy. Kuchnia, spizarnie i piwnice to domena naszej kucharki, pani Durham, która nie toleruje gości. Nasza poprzednia kucharka była bardziej przystępna. Jako mała dziewczynka pomagałam jej zdobić torty wyciętymi z ciasta dębowymi liśćmi albo babrałam się w mące. Z panią Durham nie ma o tym mowy. Jedynie matce i Hatty wolno korzystać z tylnych schodów. No i ojcu, gdy życzy sobie sprawdzić zawartość piwniczki z winem. Ale wino już dawno zlicytowane. A ojciec uciekł do Francji.

Kucharka siedzi za stołem zastawionym słojami, puszkami soli, głowami cukru, koszami jaj i cebuli. U jej stóp na podłodze stoją kręgiem worki z mąką, z orzechami, z chmielem.

– Nikt tego nie chce, panno Elizo?

Kucharka ma czerwone oczy i ślady łez na policzkach.

– To jak grom z jasnego nieba, panno Elizo! I kto to widział, żeby się człowiek dowiadywał z gazety, zanim usłyszał nowinę od swojej pani!

Wyciąga z kieszeni wystrzępioną chustkę i głośno wyciera w nią nos.

– Przecież jedzie pani z nami do Tonbridge. Będziemy potrzebować dobrej kucharki w tym... pensjonacie. – Z przykrością wymawiam to nowe dla moich ust słowo. Pensjonat. Pensjonat. Nie podoba mi się to określenie. Potrząsam głową. Ale wstrętne słowo nie znika, jest jak niedojrzały owoc przywarty do targanej wiatrem gałęzi. – Zatrzymujemy tylko ciebie i Haty – dorzucam, bo nie mam pewności, czy matka cokolwiek jej wyjaśniła. – Reszty służby trzeba będzie poszukać w Tonbridge.

Jeśli będzie nas na nią stać... co mało prawdopodobne.

Kucharka kiwa głową i znowu smarka w chustkę.

– Co mam spakować? – pyta. – Pani nie wydała żadnych poleceń. Formy do galaretek? Salaterki z rżniętego szkła? A przyprawy? Tyle tego... Przecież to warte majątek!

Kucharka gestykuluje dramatycznie, wskazując ustawione na stole puszki, słoje i gliniane garnczki. Nagle na całe to bogactwo pada cienki promień północnego światła i stół ożywa zielenią marynowanej papryki i solonych kaparów, połyskliwą czernią lasek wanilii, rdzawym brązem cynamonu. To nieoczekiwane piękno, ta paleta barw – ochry i terakoty, kolorów ziemi, piasku i trawy – sprawia, że wszelka myśl o pensjonacie pierzcha bez śladu.

Sięgam po pierwszy lepszy słoje, unoszę korkowe wieczko. Pachnie korą, ziemią, korzeniami, niebem. Na sekundę przenoszę się w inny świat.

– Tajemna woń sekretnego królestwa... – mruczę do siebie.

Zawartość słoja stanowią dość pospolite brązowe kuleczki. To istny cud, że coś tak niepozornego może mieć taki upajający zapach.

– Cała panna Eliza! Wieczna poetessa! Przecież to tylko ziele angielskie. – Kucharka uśmiecha się blado i wskazuje na sufit, z którego podwieszanej belki zwieszają się długie pęki ziół. Rozmaryn, wrotycz, szaflwia, pokrzywa, marzanka. – A te nie pachną? Zbierałam je przez całe lato, jeszcze nie zdążyły dobrze wyschnąć.

– Mogę się przyjrzeć bliżej? – Nie czekając na odpowiedź, ściągam belkę na wysokość oczu. Mam teraz przed sobą całe bogactwo zapachów lasu i sadu. Ni stąd, ni zowąd, przenoszę się w przeszłość: sosnowe igły drapią mnie po skórze, światło przedziera się górą przez gałęzie, ktoś szepcze mi do ucha słodkie słowa... Pospiesznie wciągam belkę z powrotem do góry. – Nie ma pani rodziny, której przydałyby się te zioła?

Kucharka się rozpromienia.

– A to ci pomysł, panno Elizo! Pani jeszcze mówiła, że trzeba sprzedać wszystkie książki, ale chyba nie moje przepisy?

– Mamy w domu książki kucharskie?

– Tylko parę sztuk. – Pani Durham podchodzi ciężko do szafki i wraca z naręczem książek. – Jedna jest po francusku, panienska sama ją chyba przywiozła z podróży.

Biorę od niej rzeczoną książkę, która ma pozawijane rogi i tłuste plamy na skórzanej oprawie. *Le Cuisine Royal*, głosi tłoczony na płowym grzbiecie tytuł. Znów dopada mnie nieproszone wspomnienie. Odkładałam francuską książkę i zaczynam kartkować inną: *Kuchnia domowa Prawdziwej Damy w nowym stylu*. Zatrzymuję się przy przepisie na peklowane ostrygi i studiuję go z wysiłkiem. Jakąż sztuczną, zawilą prozą posługuje się ta „prawdziwa dama”. Niektóre fragmenty są wprost niezrozumiałe. A cały opis bynajmniej nie przywołuje wykwintnego

smaku świeżej ostrygi – słonego i pikantnego, kojarzącego się ze skalistą zatoczką morską o świcie.

– Rozumie pani cokolwiek z tych przepisów, pani Durham?

– Bogiem a prawdą, panno Elizo, nic a nic. Czytanie w ogóle nie za dobrze mi idzie.

Po raz drugi wczytuję się w inny przepis. Gramatyka szwankuje, treść nie porywa, wrażenie ogólne mało zachęcające.

– Jeśli przeczytam to pani na głos, powie mi pani, co ta „prawdziwa dama” ma na myśli?

– A na co to panience? – pyta kucharka i patrzy na mnie spod przymkniętych powiek.

– Bo dla mnie to w ogóle nie ma sensu, ale być może dlatego, że nie znam się na sztuce kulinarnej. Pani to co innego: jest pani tak doświadczoną kucharką, że nie wyobrażamy sobie domu bez pani.

Udobruchana komplementem kiwa głową.

– Ja tam, panienko, przeważnie korzystam ze swoich przepisów, co je sobie uzbierałam przez długie lata kucharzenia.

Zaczynam czytać:

– „Pudding z czarnego chleba. Weź pół funta czerstwego czarnego chleba startego na tarce, tyleż porzeczek, tyleż siekanego łożu, cukru i gałki muszkatowej. Zmieszaj z czterema jajami, łyżką brandy i dwiema łyżkami śmietany. Gotuj w szmatce płóciennej lub naczyniu, które masa dokładnie wypełnia, przez trzy, cztery godziny”.

Nudne to jak flaki z olejem. Wiersz, który byłby tak mało konkretny i wyrazisty jak ten przepis, stałby się pośmiewiskiem całego towarzystwa.

– Pół funta gałki muszkatowej? Przecież to bzdura! I o jakiej wielkości łyżce mowa? O chochli czy o łyżeczce do soli?

Pani Durham zasysa policzki i przewraca oczami.

– Mój przepis jest o wiele lepszy – oświadcza. – Zetrzeć na tarce pół funta gałki muszkatołowej? Toż to by trzeba trzeć cały dzień! I kosztowałoby królewski majątek! I nie ma tam mowy o tym, żeby opłukać porzeczeki i usunąć z gałązek – gorszy się, cmokając z niesmakiem.

– A jak długo gotować? Trzy godziny czy cztery?

– Co za nieoszczędność, panno Elizo. Tyle opału by się zmarnowało, gotując przez cztery godziny, kiedy wystarczyłoby trzy – cmoka i kiwa głową. – To niedobre przepisy, całkiem niedobre. A przecież w każdej kuchni, w której pracowałam, była ta książka.

Przebiegam przepis wzrokiem po raz trzeci. Coś mnie w nim uderza. Coś innego niż oczywiste marnotrawstwo i brak precyzji. Przeglądam składniki: chleb, porzeczeki, lój, cukier, gałka muszkatołowa, jaja, brandy, śmietana.

– Wyobraża sobie pani smak tego puddingu, pani Durham? – pytam, zamykając książkę i odruchowo wtykając ją pod pachę.

– Co do mnie, to użyłabym innych składników. Soli dla podkreślenia smaku... ale tylko szczyptę. I kandyzowanej skórki pomarańczowej, naturalnie. I paru kropel cytryny do zakwaszenia łoju.

– No właśnie, pani Durham. No właśnie – potakuję cicho. – Przepis tej tajemniczej „prawdziwej damy” jest nudny, źle sformułowany, nieprecyzyjny i mało apetyczny.

Kucharka puchnie z dumy i zaczyna się krzątać po kuchni, zdejmując z belki pęki ziół i wiąże je sznurkiem.

– Proszę sobie stąd wziąć, co pani chce – zachęcam ją, chcąc jak najprędzej czmychnąć z książką kucharską. W uszach brzmia mi słowa pana Longmana: „Niech pani wraca do domu

i napisze dla mnie książkę kucharską. Wtedy się dogadamy, panno Acton”. Czyżbym się zbyt pośpieszyła z zadzieraniem nosa?

– A co z tymi? – Kucharka podnosi stosik książek. – Ja tam z nich nie korzystam.

– To ja je wezmę – odpowiadam skwapliwie i z naręczem książek spieszę do swojej sypialni, gdzie z ulgą przekonuję się, że skrzynka po herbacie jeszcze nie została zabita gwoździami. Wsuwam do niej swoje zdobycze, przykrywam poskładanym szalem i wracam na dół, by się przyłączyć do nerwowych przygotowań do wyjazdu.